Dokładnie tam, gdzie jesteś

Mieli radzić sobie sami. Nie przewidzieli, że zechcą być razem



Laura Bellini

Dokładnie tam, gdzie jesteś

Mieli radzić sobie sami. Nie przewidzieli, że zechcą być razem

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904985

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie było w briefie.....10
Rozdział 2 - To, czego nie widać 19
Rozdział 3 - Rzeczy, których nie da się zaplanować 30
Rozdział 4 - Poza godzinami pracy 41
Rozdział 5 - Granice, które warto uszanować..... 56
Rozdział 6 - Dźwięk, który zostaje 68
Rozdział 7 - Dzień po pocałunku..... 80
Rozdział 8 - W jego świecie 88
Rozdział 9 - To, czego nie zrobimy osobno.....100
Rozdział 10 - Nie tylko na chwilę..... 112
Rozdział 11 - Bliskość ma swoje zasady 125
Rozdział 12 - Kiedy cisza staje się odpowiedzią 134
Rozdział 13 - Cena wspólnego wyboru 146
Rozdział 14 - To, co możemy stracić.....158
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy 169
Rozdział 16 - Miejsce, które zostaje puste 184
Rozdział 17 - Dwa osobne rytmy 194
Rozdział 18 - Pierwszy krok bez gwarancji 202
Rozdział 19 - Nie wystarczy chcieć.....215
Rozdział 20 - Dokładnie tam, gdzie jesteś 227

INTRO

Trzy tygodnie po pierwszym spotkaniu z Baltazarem Królem w pracowni pachniało klejem introligatorskim, drewnem i kawą, która dawno wystygła. Na stole leżały rozłożone arkusze naszego albumu: fotografie dłoni przy pracy, próbki papieru, krótkie teksty, które poprawiałam już tyle razy, że zaczynałam rozpoznawać własne zdania po samym rytmie. Powinnam była czuć satysfakcję. Projekt wreszcie nabierał kształtu, a ja potrafiłam doprowadzać rzeczy do końca nawet wtedy, gdy wymagały cierpliwości większej niż ta, którą miałam dla ludzi.

Tego wieczoru bardziej interesowała mnie koperta wsunięta pod notes.

Nie była duża. W środku znajdował się wydruk potwierdzający przyjęcie mojej oferty na kilkumiesięczny projekt poza Poznaniem, wraz z datą rozpoczęcia i warunkami, które znałam już niemal na pamięć. Odpowiedź należało wysłać do piątku. Zostały mi dwa dni, żeby podpisać umowę, zorganizować wyjazd i powiedzieć o wszystkim osobom, które powinny wiedzieć. Lista była krótka. Nie było na niej Baltazara.

Oferta nie spadła z nieba. Przez lata budowałam portfolio po godzinach, brałam zlecenia, których inni nie chcieli, i uczyłam się odmawiać tym, które wymagały ode mnie dyspozycyjności przez całą dobę. Ten projekt był pierwszym od dawna, który dawał mi nie tylko pieniądze, lecz także przestrzeń do pracy po swojemu. Miałam prowadzić opracowanie od początku do końca, bez cudzych poprawek nanoszonych w ostatniej chwili. Wyjazd oznaczał ryzyko, ale również szansę, na którą zapracowałam. Nie

zamierzałam z niej rezygnować tylko dlatego, że w Poznaniu pojawił się ktoś, przy kim zwykły wieczór potrafił nabrać niebezpiecznej wagi.

Przyzwyczaiłam się do życia, w którym decyzje podejmowałam sama. Nikt nie czekał na mnie z kolacją, nikt nie pytał, o której wrócę, a wolne miejsce w kalendarzu należało do mnie. Lubiłam tę swobodę. Czasem nawet bardziej niż przyznawałam przed znajomymi.

Nie dlatego, że Baltazar nie miał prawa wiedzieć. Po prostu nie ustaliliśmy, że będziemy dzielić się planami, które nie dotyczyły albumu. Tak brzmiała rozsądna wersja. Wersja, którą powtarzałam sobie od chwili, gdy zobaczyłam jego nazwisko w wiadomości od wydawcy i zrozumiałam, że współpraca potrwa dłużej, niż początkowo zakładałam.

Przesunęłam kopertę głębiej pod notes, kiedy na korytarzu rozległy się kroki. Baltazar nie pukał już tak niepewnie jak podczas pierwszych wizyt. Dwa krótkie uderzenia w drzwi były raczej uprzejmym ostrzeżeniem niż pytaniem o pozwolenie.

— Mogę?

— Jeśli przyniosłeś poprawioną próbkę, to nawet powinieneś.

Wszedł z płaskim pakunkiem owiniętym w szary papier. Miał na sobie ciemną koszulę z podwiniętymi rękawami, a na jednym mankiecie jasny pył, którego nie zauważył albo nie uznał za wart usunięcia. Zatrzymał się przy stole i spojrzał najpierw na rozłożone strony, dopiero potem na mnie.

— Nie wiedziałem, że projektantka książek potrafi grozić gościom przed kolacją.

— To nie groźba. To system motywacyjny.

— Skuteczny?

— Zależy od jakości próbki.

Uśmiechnął się, a ja poczułam tę znajomą, niepraktyczną przyjemność, kiedy jego twarz łagodniała. Baltazar nie próbował być czarujący. Nie wypełniał ciszy dowcipami, nie zabiegał o uwagę. Słuchał, zanim odpowiadał, i zwykle pamiętał szczegół, który innym umykał. Przy nim trudno było udawać, że mówi się coś wyłącznie dla porządku.

Rozwinął papier. W środku leżała drewniana oprawa do próbnego egzemplarza, cienka i precyzyjnie wykończona. Na krawędzi zachował naturalny rysunek słojów, zamiast go ukrywać. Przesunęłam palcem po gładkiej powierzchni, ostrożnie, żeby nie zostawić śladu.

— Jest piękna — powiedziałam.

— Jest funkcjonalna. Piękno to dodatek.

— Mówisz tak, jakbyś nie spędził pół dnia na dobraniu odcienia drewna.

— Nie spędziłem pół dnia. Tylko kilka godzin.

— To zupełnie co innego.

Usiadł naprzeciwko mnie. Przez chwilę omawialiśmy proporcje, sposób mocowania i to, czy grzbiet wytrzyma częste otwieranie. Miał rację w sprawie zawiasu, ja w sprawie szerokości marginesu. Nie musieliśmy już tłumaczyć sobie każdej decyzji od początku. Ta łatwość była jedną z rzeczy, których nie planowałam polubić.

Kiedy pochylił się nad rozkładówką, jego ramię znalazło się blisko mojego. Nie dotknął mnie. Nie musiał. Znałam już jego zapach — drewno, mydło i coś chłodnego, co przypominało powietrze wpadające do pracowni po otwarciu

drzwi. Odsunęłam arkusz, robiąc mu miejsce, choć miejsca było dość.

— Zmieniłaś kolejność zdjęć — zauważył.

— Tak. Najpierw chciałam pokazać narzędzia, ale teraz myślę, że lepiej zacząć od dłoni. Czytelnik powinien najpierw zobaczyć człowieka, nie przedmiot.

— To brzmi rozsądnie.

— Nie przyzwyczajaj się. Czasem mam też nierozsądne pomysły.

— Zauważyłem.

Powiedział to spokojnie, bez kpiny. Spojrzałam na niego, próbując rozstrzygnąć, czy miał na myśli sposób, w jaki potrafiłam zmieniać zdanie, czy coś, czego jeszcze nie nazwał. Baltazar odwrócił wzrok ku fotografii lutnika pochylonego nad pudłem rezonansowym. Zawsze dawał mi czas, kiedy nie chciałam odpowiedzieć. Zaczynałam podejrzewać, że ta uważność nie jest wyłącznie jego zaletą. Mogła też być sposobem na ukrywanie własnych pytań.

— Wydawca chce zamknąć skład przed końcem miesiąca — powiedziałam. — Jeśli utrzymamy tempo, zdążymy.

— Utrzymamy, jeśli nie będziesz poprawiać każdego podpisu po sześć razy.

— Pięć wystarczy?

— Mogę negocjować.

Zaśmiałam się, a on patrzył na mnie o sekundę dłużej, niż wymagała rozmowa. W tej sekundzie pomyślałam, że mogłabym powiedzieć mu o kopercie. Nie musiałabym tłumaczyć całego planu. Wystarczyłoby jedno zdanie: dostałam propozycję, wyjadę na kilka miesięcy, jeszcze nie wiem, co z tego wyniknie. Nie prosiłabym go o zgodę ani o

radę. Chciałam tylko sprawdzić, jak zabrzmi prawda wypowiedziana przy nim.

Zamiast tego zamknęłam notes.

— Muszę jutro wyjść wcześniej — powiedziałam. — Mam kilka spraw do załatwienia.

— Jasne.

Odpowiedział zbyt szybko. Nie zapytał, jakich. Nie próbował zatrzymać mnie przy stole, choć jeszcze przed chwilą rozmawialiśmy tak, jakby wieczór nie miał końca. Wstał i zaczął składać szary papier, starannie wygładzając zagięcia.

— Zostaw oprawę. Rano zrobię zdjęcia przy dziennym świetle.

— Dobrze.

— I Baltazar?

Podniósł głowę.

— Tak?

Przez moment miałam na końcu języka zdanie, które mogło zmienić układ tej rozmowy. Mogłam zapytać, czy chciałby wiedzieć, dokąd jadę, zanim jeszcze sama podjęłam decyzję. Mogłam też powiedzieć, że nie jestem pewna, czy wyjazd nadal wydaje mi się tak prosty, odkąd zaczęłam czekać na jego wizyty. Żadne z tych zdań nie pasowało do zasad, które sama ustaliłam.

— Nic. Do jutra.

Skinął głową. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze na chwilę, jakby również szukał właściwych słów, ale ostatecznie wyszedł bez nich. Zostałam z drewnianą oprawą na stole i kopertą, której róg znów wystawał spod notesu.

Miałam plan. Był rozsądny, konkretny i należał wyłącznie do mnie. Dlaczego więc jego milczenie zabrzmiało jak coś, co mogłam stracić, zanim w ogóle odważyłam się przyznać, że tego chcę?

Rozdział 1 - Warunki, których nie było w briefie

Do pracowni Baltazara Króla weszłam z teczką pod pachą, dwoma wydrukami koncepcji albumu i przekonaniem, że najtrudniejsza część spotkania potrwa najwyżej pół godziny. Miałam już za sobą rozmowę z wydawcą, wstępny budżet, harmonogram i kilka tygodni pracy nad pomysłem, który coraz bardziej mi się podobał. Potrzebowałam tylko zgody człowieka, którego nazwisko polecono mi jako jednego z najlepszych lutników w Poznaniu. W moim kalendarzu spotkanie zajmowało czterdzieści pięć minut. Zostawiłam sobie piętnaście na ewentualne negocjacje.

Nie uwzględniłam możliwości, że gospodarz nie będzie zainteresowany ani moim harmonogramem, ani wydawcą, ani nawet pieniędzmi.

Pracownia mieściła się na parterze starej kamienicy, w pomieszczeniu, którego wysokie okna wychodziły na niewielkie podwórze. Już na progu poczułam zapach drewna, lakieru i czegoś lekko żywicznego. Wzdłuż jednej ściany stały półki z deskami o różnych odcieniach, starannie oznaczonymi niewielkimi kartonikami. Na drugim końcu pomieszczenia znajdował się stół roboczy, a nad nim rząd narzędzi zawieszonych tak równo, jakby ktoś zaprojektował ich rozmieszczenie z dokładnością właściwą architektowi. Nie było tu przypadkowych przedmiotów. Nawet kubek z ołówkami stał dokładnie przy krawędzi stołu.

Mężczyzna pochylony nad instrumentem nie podniósł głowy, kiedy weszłam.

— Pan Baltazar Król?

— Zależy, kto pyta.

— Inga Domańska. Dzwoniłam w sprawie albumu.

— Wiem. Proszę nie stawać przy drzwiach. Tam przeciąg przeszkadza w pracy.

Zamknęłam za sobą drzwi. Odłożyłam płaszcz na wieszak i rozejrzałam się za miejscem, w którym mogłabym położyć teczkę. Wtedy mężczyzna wyprostował się i odłożył narzędzie. Był wyższy, niż się spodziewałam, miał ciemne włosy z wyraźnymi pasmami siwizny przy skroniach i twarz, na której zmęczenie nie odbierało wyrazistości rysom. Nie wyglądał na człowieka, który potrzebował potwierdzenia własnej wartości. Raczej na takiego, który dawno przestał zabiegać o cudzą aprobatę.

— Dzień dobry — powiedziałam.

— Dzień dobry.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego dłoń była ciepła, szorstka w miejscach, których nie dało się wygładzić samą pielęgnacją. Uścisk miał pewny, ale krótki. Wskazał mi krzesło przy niewielkim biurku.

— Wydawca mówił, że chce pani zrobić książkę o rzemiośle.

— Album o ręcznej pracy. Nie tylko o przedmiotach, ale również o ludziach, którzy je tworzą. O decyzjach, technice, czasie i tym wszystkim, czego nie widać w gotowym produkcie.

— Ładnie brzmi.

— Dziękuję.

— Nie powiedziałem, że będzie dobrze wyglądało na papierze.

Zatrzymałam się z dłonią na teczce.

— Zwykle wolę oceniać projekty po zapoznaniu się z nimi.

— Ja też.

Nie uśmiechnął się, więc przez moment nie byłam pewna, czy żartuje. Postanowiłam nie zaczynać od tłumaczenia mu, jak wygląda rynek wydawniczy. Rozłożyłam przed nim pierwszą planszę.

Album miał mieć elegancką, ale oszczędną oprawę. Duże fotografie, krótkie teksty, wyraźny rytm stron. Nie chciałam tworzyć katalogu przedmiotów ani kolejnej publikacji, w której rękodzieło przedstawiano jako modną alternatywę dla produkcji przemysłowej. Interesowało mnie to, co dzieje się między pierwszym pomysłem a gotowym przedmiotem. Ręce, narzędzia, błędy, poprawki i decyzje, których nie da się podjąć za pomocą gotowej instrukcji.

Baltazar oglądał plansze w milczeniu. Nie przerywał mi, kiedy wyjaśniałam strukturę rozdziałów, proponowany sposób fotografowania i zakres tekstów. Zauważyłam, że zatrzymał się dłużej przy fotografii warsztatu, w którym na stole leżały nieukończone przedmioty.

— To ma być właśnie taki rodzaj zdjęć? — zapytał.

— Tak. Chcę pokazać pracę, nie tylko efekt.

— A dlaczego wszystkie narzędzia na tej fotografii są czyste?

Spojrzałam na planszę.

— To zdjęcie poglądowe.

— Rozumiem. Czyli narzędzia zostały wyczyszczone, ustawione i sfotografowane tak, żeby wyglądały na używane, ale niezbyt używane.

— Nie wszystko da się znaleźć w banku zdjęć dokładnie takim, jakiego potrzebujemy.

— W takim razie może warto przyjść do prawdziwego warsztatu.

Odchyliłam się na krześle.

— Właśnie dlatego tu jestem.

— Tylko proszę nie oczekiwać, że przestawię pracę, żeby wszystko wyglądało dobrze w kadrze.

— Nie oczekuję.

— I nie będę udawał, że każdy instrument powstaje bez błędów.

— Tym bardziej nie oczekuję.

Po raz pierwszy spojrzał na mnie z wyraźniejszym zainteresowaniem.

— To dobrze. Bo w poprzednim tygodniu rozmawiałem z człowiekiem, który chciał zrobić film o tradycyjnym rzemiośle. Zależało mu, żebym pokazał wyłącznie piękne momenty. Miałem trzy razy powtarzać ten sam gest, bo za pierwszym razem nie wyszedł mu odpowiednio efektowny kadr.

— Nie będziemy inscenizować pracy.

— Każdy tak mówi na początku.

— A każdy rzemieślnik uważa, że projektant chce mu urządzić życie?

— Nie każdy. Tylko ci, którzy już mieli z projektantami do czynienia.

Tym razem uśmiechnął się lekko. Był to niewielki ruch kącika ust, ale zmienił jego twarz bardziej, niż się spodziewałam. Nie był człowiekiem szczególnie

rozmownym, lecz potrafił słuchać w sposób, który zmuszał do precyzji. Zaczynało mnie to irytować. I podobać mi się jednocześnie.

Przesunęłam w jego stronę drugą planszę. Przedstawiała propozycję rozkładówki o procesie powstawania instrumentu smyczkowego.

— Chciałabym oprzeć jeden z głównych rozdziałów na pracy z drewnem. Nie na ogólnym opisie, tylko na konkretnym przykładzie. Od wyboru materiału po ostatnie poprawki.

— Jaki instrument?

— To zależy od tego, co uzna pan za najlepszy przykład.

— Nie wybiera się instrumentu pod rozdział.

— A pod co?

— Pod człowieka, który ma na nim grać. Pod jego potrzeby. Pod jego ręce. Pod sposób, w jaki słyszy dźwięk. Można zrobić piękny instrument, który nie będzie odpowiedni dla konkretnego muzyka.

Zanotowałam to zdanie na marginesie. Baltazar zauważył ruch mojego długopisu.

— Już pani zapisuje?

— To dobra myśl.

— Niech pani nie zapisuje jej jeszcze jako cytatu. Najpierw trzeba sprawdzić, czy naprawdę tak powiedziałem.

— A jak mam sprawdzić?

— Przyjść, posłuchać, zobaczyć.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie ponad rozłożonymi planszami. W jego propozycji nie było niczego szczególnie niezwykłego, a jednak po raz pierwszy od początku

spotkania poczułam, że rozmawiamy o tym samym. Nie o promocji rzemiosła, nie o ładnej książce, ale o czymś, co dla niego miało rzeczywistą wagę.

— Chciałabym też zrobić kilka portretów — powiedziałam.

— Nie lubię zdjęć.

— Nie musi pan ich lubić.

— To po co je robić?

— Bo nie chcę, żeby album był zbiorem anonimowych dłoni. Chcę pokazać ludzi stojących za pracą.

— Nie każdy chce oglądać siebie na papierze.

— Nie zamierzam nikogo zmuszać.

Przesunął jedną z plansz bliżej siebie. Przez moment przyglądał się postaci stojącej przy stole stolarskim.

— A jeśli odmówię?

— Poszukam innego rozwiązania.

— Bez przekonywania mnie, że tracę życiową szansę?

— Bez tego. Nie sprzedaję panu marzeń o sławie.

— Dobrze. Nie mam czasu na sławę.

Roześmiałam się, zanim zdążyłam powstrzymać reakcję. Baltazar również się uśmiechnął, tym razem trochę swobodniej.

Właśnie wtedy do pracowni weszła kobieta z dużą torbą przewieszoną przez ramię. Przywitała się z nim i położyła na biurku niewielkie pudełko.

— Zostawiam to, o czym rozmawialiśmy. Zajrzyj, kiedy będziesz miał chwilę.

— Dobrze, dziękuję.

Kobieta spojrzała na mnie z uprzejmą ciekawością.

— Nowy projekt?

— Być może — odpowiedział Baltazar.

Nie było w tym ani entuzjazmu, ani odmowy. Kobieta pożegnała się i wyszła. Zauważyłam, że Baltazar odczekał, aż zamkną się drzwi, zanim wrócił do rozmowy.

— Ma pan dużo klientów? — zapytałam.

— Wystarczająco.

— Nie boi się pan, że udział w projekcie zabierze panu czas?

— Boję się bardziej, że ktoś zabierze mi czas, a potem zrobi z mojej pracy coś, czego nie będę chciał podpisywać.

To była pierwsza rzecz, którą powiedział naprawdę bez osłony. Zrozumiałam, że nie chodziło mu o niechęć do fotografowania. Chciał mieć pewność, że nie stanie się ozdobnikiem w cudzej opowieści.

Zamknęłam teczkę, ale nie schowałam plansz.

— Proponuję coś innego. Zaczniemy od jednej wizyty próbnej. Bez zobowiązania do publikacji. Pokaże mi pan proces, a ja przedstawię propozycję rozkładówki. Jeśli uzna pan, że nie rozumiem tego, co robi, zakończymy rozmowę.

— A jeśli ja uznam, że pani nie rozumie książek?

— Wtedy będę musiała się bardziej postarać.

Przyglądał mi się przez kilka sekund. Nie było w tym spojrzeniu niechęci, ale nie było też łatwej zgody.

— Pani zawsze tak negocjuje?

— Tylko kiedy zależy mi na projekcie.

— A zależy?

— Tak.

— Dlaczego?

To pytanie zaskoczyło mnie bardziej, niż powinno. Mogłam odpowiedzieć, że temat jest interesujący, wydawca ma rozsądny budżet, a album dobrze uzupełnia moje portfolio. Wszystko byłoby prawdą, ale żadna z tych odpowiedzi nie oddawała tego, co naprawdę mnie przyciągało.

— Bo mam dość książek, które udają, że rzeczy powstają same. Chcę pokazać ludzi, którzy wkładają w nie czas, wiedzę i cierpliwość. Chcę, żeby ktoś, kto weźmie tę publikację do ręki, zobaczył coś więcej niż ładny przedmiot.

Baltazar skinął głową, jakby rozważał odpowiedź.

— Jutro pracuję od ósmej.

— Mogę być o dziewiątej.

— O ósmej trzydzieści. Później zaczynam pracę nad instrumentem i nie będę już miał tyle czasu.

— Dobrze.

— Proszę przyjść bez fotografa.

— Nie zamierzałam go zabierać.

— I bez gotowego scenariusza zdjęć.

— To będzie trudne.

— W takim razie proszę spróbować.

Wstałam i zebrałam materiały. Kiedy sięgałam po płaszcz, zauważyłam, że Baltazar wrócił do stołu roboczego. Nie odprowadził mnie do drzwi, ale też nie było w tym lekceważenia. Wyglądało na to, że po prostu wrócił do przerwanej czynności.

— Do jutra — powiedziałam.

— Do jutra, pani Ingo.

Na zewnątrz powietrze było chłodniejsze niż rano. Wyjęłam telefon i od razu otworzyłam kalendarz, żeby przesunąć dwa spotkania. Zmiana planu nie powinna była mnie zaskakiwać. W pracy często trzeba było dostosować się do ludzi, którzy nie funkcjonowali według harmonogramu biura wydawniczego.

Mimo to, idąc w stronę samochodu, wracałam myślami do jego ostatniego pytania. Dlaczego zależało mi na tym projekcie?

Odpowiedź znałam. Nie zamierzałam jednak przyznawać, że część tej ciekawości zaczęła dotyczyć również człowieka, który siedział przy stole w pracowni i potrafił jednym zdaniem podważyć starannie przygotowaną koncepcję.

Następnego dnia miałam się przekonać, czy potrafię pracować z kimś, kto nie zamierza ułatwiać mi zadania.

I czy w ogóle chciałam, żeby mi je ułatwiał.

Rozdział 2 - To, czego nie widać

Przyjechałam o ósmej dwadzieścia pięć. Nie lubiłam spóźnień, ale jeszcze bardziej nie lubiłam przychodzić zbyt wcześnie do miejsc, w których nie wiedziałam, czy jestem mile widziana. Tym razem postanowiłam nie testować cierpliwości gospodarza. W ręku trzymałam niewielki notes, aparat fotograficzny i wydrukowaną kartkę z propozycją zakresu współpracy. Nie zabrałam laptopa ani teczki pełnej inspiracji. Baltazar wyraźnie zaznaczył, że nie potrzebuje kolejnej prezentacji.

Drzwi były uchylone. Zapukałam i weszłam dopiero po chwili.

— Punktualnie — powiedział, nie odwracając się od stołu.

— To komplement?

— Stwierdzenie faktu.

— Przyjmuję.

Na stole leżała deska o jasnym, lekko złotawym odcieniu. Baltazar pracował nad nią niewielkim narzędziem, wykonując ruchy tak spokojne i powtarzalne, że przez chwilę zapomniałam, po co przyszłam. Nie było w nich niczego pokazowego. Nie wykonywał gestów dla obserwatora. Każdy ruch miał określony cel, a jego dłonie zatrzymywały się dokładnie w tym miejscu, w którym należało sprawdzić efekt.

Nie chciałam mu przeszkadzać. Zdjęłam płaszcz i odłożyłam go na wieszak.

— Może pani podejść — powiedział po chwili. — Tylko proszę nie dotykać powierzchni.

Stanęłam po drugiej stronie stołu.

— Co to za drewno?

— Świerk.

— Na płytę wierzchnią?

— Tak.

— Wygląda inaczej niż na zdjęciach, które oglądałam.

— Bo zdjęcia zwykle pokazują gotowe instrumenty. Tutaj ma pani materiał, który dopiero zaczyna opowiadać swoją historię.

— Zawsze pan tak mówi?

— Jak?

— Jakby drewno miało własne zdanie.

— Czasami ma. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy przestać je ignorować.

Odłożył narzędzie i przesunął deskę w moją stronę, nie pozwalając mi jej dotknąć.

— Proszę spojrzeć pod światło.

Pochyliłam się. W drewnie dostrzegłam cienkie, nieregularne linie, które wcześniej uznałabym za niedoskonałość.

— To problem?

— Nie. Ale trzeba wiedzieć, co się z nim zrobi. Nie wybiera się materiału tylko dlatego, że wygląda dobrze. Liczy się również to, jak będzie pracował.

— Czyli pierwsza decyzja zapada jeszcze przed rozpoczęciem właściwej pracy.

— Pierwsza decyzja zapada wtedy, kiedy człowiek przestaje uważać, że wszystko da się naprawić później.

Zapisałam zdanie. Tym razem nie zaprotestował.

Zapytałam, czy mogę zrobić kilka zdjęć. Zgodził się pod warunkiem, że nie będę mu kazała powtarzać ruchów. Ustawiłam aparat, wybrałam obiektyw i zaczęłam od szerokiego kadru pokazującego stół, narzędzia i światło wpadające przez okno. Nie chciałam fotografować wyłącznie dłoni. Wolałam uchwycić relację między człowiekiem a przestrzenią, w której pracował.

Baltazar nie zwracał uwagi na aparat. Wrócił do swojej czynności, a ja mogłam obserwować go bez konieczności prowadzenia rozmowy. Zauważyłam, że każde narzędzie odkładał w to samo miejsce, ale nie wyglądało to na sztywny rytuał. Po prostu wiedział, gdzie będzie go potrzebował za chwilę. Kiedy przestawał pracować, nie robił tego dlatego, że coś go rozpraszało. Zatrzymywał się, żeby sprawdzić efekt.

Po kilkunastu minutach odsunął deskę.

— I co pani widzi?

Opuściłam aparat.

— Człowieka, który nie lubi, kiedy ktoś mu przeszkadza.

— To już pani wiedziała wczoraj.

— Człowieka, który nie spieszy się tylko dlatego, że ktoś czeka na efekt.

— Lepiej.

— I kogoś, kto traktuje materiał poważniej niż większość ludzi traktuje gotowy produkt.

— To nie jest zła odpowiedź.

Usiadłam na krześle przy ścianie. Zrobiłam jeszcze kilka zdjęć półek, drobnych narzędzi i kartoników z oznaczeniami. Na jednym widniała data sprzed kilku lat. Zapytałam o nią.

— Materiał czekał na swoją kolej — wyjaśnił. — Nie każde drewno nadaje się do wykorzystania od razu.

— Jak długo może czekać?

— To zależy od tego, co ma z niego powstać i jak zostało przygotowane.

— Czyli cierpliwość jest częścią zawodu.

— Cierpliwość jest częścią wielu zawodów. Tylko nie każdy ma możliwość jej wykorzystania.

Nie zapytałam, co miał na myśli. Zamiast tego pokazałam mu pierwszy zestaw zdjęć na ekranie aparatu. Przesuwał je powoli, zatrzymując się przy tych, na których widać było jego dłonie. Nie komentował ich od razu.

— Nie pokazuje pani całego stołu.

— Bo wtedy znika to, co najważniejsze.

— A co jest najważniejsze?

— To, na czym skupia się pan w danym momencie.

Spojrzał na mnie znad aparatu.

— Dobrze pani obserwuje.

Nie odpowiedziałam. Przyjęłam to zdanie z większą satysfakcją, niż powinnam. W mojej pracy pochwały nie były rzadkością, ale zwykle dotyczyły efektu. Tutaj ktoś zauważył sam sposób, w jaki dochodziłam do rozwiązania.

Przeszliśmy do biurka, gdzie rozłożyłam kartkę z propozycją współpracy. Nie chciałam odkładać rozmowy o zasadach na później. Wiedziałam, że jeśli mamy stworzyć

coś wspólnie, musimy ustalić granice, zanim zaczniemy przyzwyczajać się do wzajemnej obecności.

— Proponuję, żebyśmy potraktowali tę część albumu jako osobną historię — zaczęłam. — Nie katalog instrumentów, tylko opowieść o jednym procesie. Od wyboru drewna do gotowego instrumentu. Z tekstami, zdjęciami i krótkimi komentarzami technicznymi.

— A co z innymi rzemieślnikami?

— Będą osobne rozdziały. Każdy dostanie własną przestrzeń. Nie chcę jednak, żeby wszystkie były zbudowane według identycznego szablonu. W pana przypadku najważniejszy będzie proces powstawania instrumentu.

— Nie chcę opowiadać o konkretnym kliencie.

— Nie musi pan.

— Nie pokażemy żadnego instrumentu, którego właściciel nie wyraził zgody.

— Oczywiście.

— I żadnych nazwisk.

Zanotowałam kolejne warunki.

— Materiał techniczny będę konsultować z panem przed publikacją. Nie chcę popełnić błędu, który później zostanie powielony przez kogoś, kto potraktuje książkę jako źródło wiedzy.

— Dobrze. Ale nie chcę też poprawiać pani tekstów pod względem literackim.

— Nie oczekuję tego. Pan odpowiada za fakty, ja za sposób ich przedstawienia.

— A jeśli sposób przedstawienia będzie nieuczciwy?

— Wtedy porozmawiamy.

— To nie jest odpowiedź.

Odłożyłam długopis.

— Nie obiecam panu prawa do zatwierdzania całej książki. Jestem odpowiedzialna za redakcję i ostateczny kształt publikacji. Mogę natomiast zagwarantować, że nie opublikuję nieprawdziwych informacji o pana pracy ani nie wykorzystam zdjęć w sposób, na który się nie zgodzimy.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Miałam wrażenie, że sprawdza nie tyle treść odpowiedzi, ile to, czy potrafię wytrzymać własne stanowisko, kiedy ktoś go nie akceptuje.

— Czyli nie będzie pan miał ostatniego słowa — dodałam.

— Nie potrzebuję ostatniego słowa. Potrzebuję wiedzieć, że moje pierwsze zostanie wysłuchane.

To zdanie zatrzymało mnie na moment. Nie było w nim pretensji ani próby uzyskania przewagi. Powiedział je spokojnie, jakby opisywał warunek, bez którego żadna współpraca nie miałaby sensu.

— W takim razie możemy pracować — odpowiedziałam.

Przesunęłam kartkę w jego stronę. Dopisaliśmy jeszcze kilka punktów: terminy wizyt, możliwość przerwania fotografowania, zakaz ingerowania w prywatne zlecenia oraz zasady wykorzystania materiałów promocyjnych. Baltazar nie chciał, żeby jego nazwisko pojawiało się w reklamach, zanim zobaczy gotową część albumu. Zgodziłam się. Ja z kolei potrzebowałam dostępu do pracowni w ustalonych godzinach, żeby nie budować całej koncepcji na przypadkowych wizytach.

— Wydawca będzie chciał mieć harmonogram — powiedziałam.